

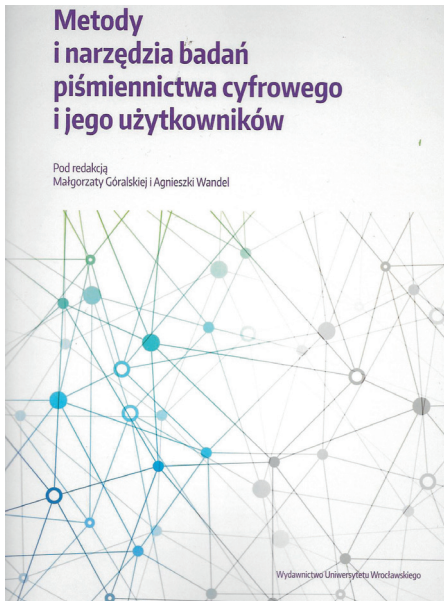
NR 21 (30)

BIBLIOTEKA

2017 PL ISSN 1506-3615

JACEK WOJCIECHOWSKI

*Metody i narzędzia badań piśmiennictwa  
cyfrowego i jego użytkowników,*  
red. Małgorzata Góralska, Agnieszka Wandel,  
Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu  
Wrocławskiego 2016, s. 220



Instytut INiB Uniwersytetu Wrocławskiego sformował niezwykle interesującą książkę wieloautorską na temat – mówiąc najogólniej – bibliotekarstwa oraz piśmiennictwa cyfrowego. Rzeczywisty zakres jest zresztą znacznie szerszy, niż to sugeruje tytuł i dla zawartości to bardzo dobrze. Dla tytułu mniej, bo to wszak sygnał zachęcający do przeczytania bądź nie, czyli powinien referować treść. Tymczasem treść zachęca się sama. Bo jest ważna i wysoce aktualna oraz daje się porównać z zawartością podobnych tomów, równocześnie lub niedawno wydanych w Anglii<sup>1</sup>.

Jak zawsze w publikacjach zbiorowych, jakość poszczególnych tek-

stów jest zróżnicowana. Obok bardzo dobrych są też mniej lub bardziej ciekawe, natomiast cztery (na 15) moim zdaniem można było sobie darować, osiągając jeszcze wyższy standard jakościowy. Ale w sumie i tak liczą się głównie wypowiedzi najlepsze.

Mam jednak pretensję do pań redaktorek, że dopuściły do typowej w bibliologii oraz informatologii, koszmarnej kaleczącej polski

---

<sup>1</sup> *Dynamic research support for academic libraries*, red. S. Hoffman, London 2016; *Library analytics and metrics. Using data to drive decisions and service*, red. B. Showers, London 2015.

język pisaniny w trybie bezosobowym: *wykonano, zrobiono...* Kto *zrobiono*? Autor(ka) *zrobiono*? Chyba w konia. To należy bezwzględnie **tępić!** W III klasie szkoły podstawowej uczą przecież, że zaimki *ja* oraz *my* nie są nieprzyzwoite. No więc *ja poproszono*, żeby redaktorzy tego nie *tolerowano*. Natomiast – jak się *ja domyślono* – dwóch tekstów, napisanych łamaną polszczyzną, nie było jak *poprawiono*. No to po co je *publikowano*?

Oraz jeszcze jedno zastrzeżenie. Przy całym naszym zakompleksieniu nie może być tak, że w polskim tomie **drukowanym** nagle jeden tekst jest w języku obcym – tutaj (zresztą akurat bardzo dobry) w angielskim i to bez polskiego streszczenia. O ile w Internecie byłaby jakaś szansa na obcy odbiór, to trudno liczyć, że na naszą publikację drukowaną rzucą się faceci z Burkina Faso lub z Nowej Zelandii: to nonsens. Zapłaciłem w Polsce, polskimi pieniędzmi, za polską książkę z polskim tytułem i nagle muszę nauczyć się angielskiego? Proszę mi zwrócić należność za kurs. Szanujmy się, do pioruna!

Wśród ciekawych opinii oraz oryginalnych pomysłów metodologicznych, zawartych w tym tomie, zabrakło mi jednak **nadrzędnego** przywołania ocen rozsądkowo-kompetencyjnych, które wynikają z krzyżowych porównań recenzji, a przecież techniki statystyczne i zmatematyzowane pełnią wobec nich jedynie funkcje dopełniające i pomocnicze. No bo kiedy czytam tekst mierny, to żaden IF ani wskaźnik Hirscha nie przekona mnie, że to rewelacja. I o takiej zasadzie trzeba koniecznie pamiętać **zawsze**, bo na niej nadal trzyma się cała nauka.

Pośród rozważań na temat **metodologii** badawczej (ściślej: zarówno w tym kręgu, jak też dookoła) wyróżniają się w tym tomie szczególnie dwa bardzo dobre opracowania. Otóż **Grzegorz Czapnik** (UŁ) charakteryzuje metody eksploracji danych – **datamining** oraz **bibliomining** – z zasobów digitalnych, sygnalizując nietypowe, ale wysoce użyteczne sposoby analiz, z wykorzystaniem zaawansowanych technik statystycznych. W uproszczeniu można powiedzieć, że ma miejsce połączenie bibliometrii z pozyskiwaniem rozmaitych informacji o użytkownikach danych cyfrowych. Co przydaje się do analizy konkretnych danych oraz ich zbiorów, a także do śledzenia cytowań i do obserwacji korzystania z elektronicznej oferty.

Wcześniej takich możliwości nie było. Natomiast teraz takie techniki są już stosowane na świecie w coraz szerszym zakresie, toteż ten sygnał, wysoce klarowny, trzeba uznać za niezwykle cenny. Tym bardziej że połączony z opisem oryginalnego badania autorskiego. Tylko te stylistyczne koszmarki: *wykonano, zbadano...*

Przy okazji autor *zasygnalizowano* kłopotliwy brak polskojęzycznego oprogramowania dla takich analiz oraz utrudnienia (jednak już globalne),

będące następstwem ochrony danych osobowych. No i jest tam też szczególnie ważna konkluzja. Mianowicie do tego typu badań nie wystarczy standardowa wiedza bibliologiczna; trzeba ją dopełnić znajomością reguł statystyki oraz elementami **informatyki** (nie: informatologii). A dopóki nikt tego w takim zestawieniu nie uczy, niezbędne jest wsparcie zewnętrzne.

Podobna w tonacji była wypowiedź Ashley Jester<sup>2</sup> z Columbia University, która sugerowała, że do takich celów trzeba sobie **samodzielnie** wypracować parametry definiujące (czyli także za granicą są z tym kłopoty), a potem jeszcze – na wzór *Information Literacy* – przeprowadzić instruktaże *Data Literacy* wśród pracowników nauki oraz studentów. Ale w sumie efekty takich przedsięwzięć są podobno zachęcające i podnoszą rangę biblioteki uczelnianej jako partnerki w badaniach naukowych.

Z kolei **Wiesława Osińska** oraz **Piotr Malak** (UMK) zajęli się techniką **mapowania** w analizie danych digitalnych. To również bardzo dobry tekst, acz szkoda, że jedynie po angielsku. Natomiast, niestety, współautorka przekroczyła barierę śmieszności, przedstawiając się jako Veslava Osinska. To zacznijmy teraz pisać Veoslava Sheemborska albo Tcheslav Meeuosh? Litości!

Piotr Malak pisał wcześniej o automatycznej indeksacji zasobów oraz o rozmaitych sposobach wyszukiwania danych digitalnych<sup>3</sup> i obecny tekst współautorski pozostaje z tamtym w częściowej, chociaż peryferyjnej, relacji. Otóż mapowanie pozwala ujawniać wielokierunkowe powiązania między e-dokumentami, w tym zwłaszcza współautorstw oraz współcytowań, z wykorzystaniem tzw. scjentografów. Dzięki temu można też odnajdywać teksty i badaczy, analizować naukową współpracę oraz śledzić rozwój dyscyplin – jakkolwiek w Polsce nie jest to łatwe.

Dokonana przez autorów przykładowa analiza polskich digitalnych zasobów naukowych przyniosła ciekawe informacje. Otóż nasi autorzy naukowych opracowań cyfrowych w 80% mieszczą się w przedziale do dziesięciu publikacji na osobę, zaś we współautorstwie uczestniczy przeważnie dwoje lub troje autorów, głównie z tych samych instytucji bądź z tych samych miast. To taki obraz *panoramiczny*, chociaż nieupoważniający do zbyt daleko idących wniosków. Ale jednak sygnalizujący, że w tym zakresie eksplozji nie ma.

---

<sup>2</sup> A. Jester, *Data services for the research lifecycle: the Digital Social Science Center*, w: *Dynamic research support...*, s. 70, 82.

<sup>3</sup> P. Malak, *Indeksowanie treści. Porównanie skuteczności metod tradycyjnych i automatycznych*, Warszawa 2012, s. 18, 28–32, 50–54.

Samą technikę mapowania skojarzyłem z sygnałem Karen Munroe<sup>4</sup> z Portland University, która z kolei opisała mapowanie informacji regionalnych, na podobieństwo *Google Maps*, z wykorzystaniem istniejącego w USA systemu *Geographic Information System (GIS)*. To wzbogaca dane o przestrzenną ilustrację, przydatną niektórym specjalistom, choćby geografom, architektom bądź urbanistom. Czyli ta forma analizy danych jest już znana szerzej, a nawet znajduje **systemowe** wsparcie cyfrowe.

**Ewa Głowacka** (też z UMK) zreferowała wyniki, wyszukanych w sieci, badań funkcjonowania e-booków. To ciekawa referencja, jakkolwiek tylko ilustracyjna: wybór był przypadkowy i przydałoby się wyraźniejsze zaznaczenie, że nie ma charakteru reprezentatywnego. Przy tym sam opis jest nieco chaotyczny i chyba za mało przejrzysty (niestety, pani profesor też pisze: *zrobiono, odnaleziono*), pożyteczne natomiast są konkluzje co do głównych zakresów tych analiz.

Otóż najczęściej dotyczyła przesłanek, warunków i kierunków gromadzenia e-booków przez biblioteki, wykorzystania oraz ogólnej funkcjonalności całej tej sfery usług, a zdarzają się ponadto porównania obiegu i odbioru e-booków oraz książek drukowanych. Spośród stosowanych technik badawczych autorka wyłowiła i scharakteryzowała zwłaszcza mniej znane. To m.in. **głośne myślenie** – czyli rejestracja spontanicznych wypowiedzi odbiorcy, w konkretnym procesie odbioru, o tym, jak i dlaczego postępuje tak właśnie – a także **testowanie użyteczności** przekazów przez wybrane osoby, w formie swobodnego eksperymentu porównawczego. Natomiast w omówieniu metod **fokusowych** zabrakło objaśnienia ich istoty; to indywidualne analizy tego samego problemu badawczego przez kilku niezależnych od siebie badaczy.

Współredaktorka całego tomu, **Małgorzata Góralska** z Instytutu INiB Uniwersytetu Wrocławskiego, przedstawiła pomysł przebadania emocjonalnego stosunku do książki (jako obiektu) na podstawie analizy konkordancji, czyli używanego słownictwa, zwrotów i korpusów językowych: preferencji oraz częstotliwości stosowania. W tytule tekstu wolałbym zresztą zmianę – mowa wszak o emocjach czytelników książek wobec tej **formy** przekazu, a nie o emocjach **książkowych**, jak to autorka napisała. Idea została poparta przykładową analizą Narodowego Korpusu Języka Polskiego.

Mam jednak niejakie wątpliwości co do samej **koncepcji** takiego badania. Wypowiedzi językowe bowiem wcale nie muszą pozostawać w jakiegokolwiek relacji z emocjami, ani nawet ze świadomością. Przeważnie

---

<sup>4</sup> K. Munroe, *Mapping unusual research needs: supporting GIS access nontraditional disciplines*, w: *Dynamic research support...*, s. 84, 86.

jako formy występują w postaci automatycznych stereotypów bezrefleksyjnych, którym nie da się przypisać (zwłaszcza z góry i z zewnątrz) jednoznacznych wartości semantycznych, a tym bardziej emocjonalnych<sup>5</sup>. Dlatego takie dociekanie, chociaż metodologicznie frapujące, nie jest w pełni wiarygodne. W każdym razie nie można na nim polegać bez odpowiedniej weryfikacji w kręgach neuronauki oraz psychologii myślenia, a takiej i z takim nastawieniem (jeśli się nie mylę) nikt na razie nie próbował.

Jest z kolei w tym tomie kilka opracowań odnoszących się bezpośrednio do praktyki bibliotekarstwa cyfrowego, a w mniejszym stopniu do badań – lub wcale. To nie całkiem zgadza się więc z tytułem całości, ale pożytek jest niewątpliwy, więc nie ma powodu do zastrzeżeń. Tym bardziej że odnotowane opinie produktywnie dopełniają, przedstawiany już wcześniej, wizerunek bibliotek cyfrowych, także polskich, oraz metodologii badań<sup>6</sup>.

Wśród nich szczególnie ciekawa jest wypowiedź **Kingi Brzozowskiej** (też z wrocławskiego Instytutu INiB) na temat digitalizacji archiwaliów, przykładowo średniowiecznych – jednak z szerszym uogólnieniem. Według wielu opinii taki zabieg jest konieczny, ponieważ ułatwia badania i poszerza dostęp do tych zasobów, jakkolwiek ma ograniczenia technologiczne oraz finansowe (wysokie koszty), no i nie wszyscy są w ten sposób usatysfakcjonowani. Zwłaszcza że mimo nowych rozwiązań nie każdy materiał nadaje się do skanowania, a czasami kopie nie wystarczają do badań naukowych, szczególnie kiedy nie ma pewności, że skany są stuprocentowe.

Cele skanowania archiwaliów (podobnie jak w innych publikacjach) są tu określane jako: ochrona zabytkowych oryginałów – upowszechnienie dostępu – ułatwienie badań – oraz promocja samych bibliotek, wywołująca zresztą czasami kontrowersje. To wystarczające uzasadnienie, żeby digitalizację archiwaliów kontynuować, jakkolwiek potrzebne są w tym zakresie rozmaite ulepszenia.

Jak donosi autorka, w Polsce mediewalne kodeksy skanuje 17 bibliotek – w tym Biblioteka Narodowa w roli głównej (program POLONA). I dodaje do tego omówienie digitalnych kopii średniowiecznych zabytków piśmienniczych za granicą. Dobre wrażenie psuje nieco (znowu) upiorny slang bezosobowy: Kinga Brzozowska *zrobiono*. Co to za maniera?

---

<sup>5</sup> J. Maciuszek, *Automatyzm i bezrefleksyjność w kontekście wpływu społecznego*, Warszawa 2012, s. 11, 84–85.

<sup>6</sup> *Biblioteki cyfrowe*, Warszawa 2012; *LaTel. Z badań nad wykorzystaniem technologii informacyjnych w bibliologii i informatologii*, Warszawa 2015.



Zagraniczne opinie o skanowaniu archiwaliów są zbieżne. Biblioteki udostępniają wprawdzie oryginały, ale niechętnie, biorąc pod uwagę ich stan, wiek, wartość, unikatowość, cel zamówienia oraz osobę zamawiającą. Zatem nie wszystkie – jest zasada, że nie ma bezpośredniego dostępu do materiałów niepublikowanych – bo też nie każdemu **rzeczywiście** niezbędny jest oryginał. Digitalizuje się sporo i zawsze w pierwszej kolejności zamawiającym oferuje się skan. Jednak nie wszystko można skopiować, a poza tym 2/3 zamawiających stanowczo żąda oryginałów<sup>7</sup>.

Natomiast ogólna sytuacja bibliotecznych archiwaliów na świecie jest trudna: brakuje środków, umiejętności, a nawet pomysłów. Wiele bibliotek nie wie, czym dysponuje i w ogóle nie sygnalizuje przez sieć, że jakieś zasoby archiwalne ma<sup>8</sup>.

**Sylwia Bielawska** (PWSZ w Wałbrzychu) i **Małgorzata Całka** (PWSZ w Kaliszu) przedstawiły bardzo interesujący raport o digitalizacji zasobów w bibliotekach PWSZ, o których doniesienia w ogóle należą do rzadkości. Jest tych bibliotek 36, z czego 21 prowadzi prace digitalizacyjne, rozmaicie zaawansowane – najbardziej w Płocku, Jeleniej Górze, Legnicy, Koninie, Nysie oraz w Wałbrzychu. To bardzo pomyślna wiadomość.

Znaczna część tych uczelni, chociaż w różnym natężeniu, wydaje własne czasopisma i książki, co mogłoby stanowić przesłankę tworzenia repozytoriów, już to indywidualnych bądź (lepiej) międzyuczelnianych. Grupa 36 szkół to dobry obszar dla takiego przedsięwzięcia. Ale oczywiście istnieją przeszkody, więc brak środków, przeciążenie obowiązkami, a nawet – czego inni nie sygnalizują, a to ważny kłopot – trudności w ustalaniu autorskich praw.

**Alicja Potocka** z Biblioteki Politechniki Warszawskiej, opierając się na przykładzie własnej biblioteki, zasygnalizowała niektóre zjawiska związane z **hybrydyzacją** kolekcji. Obserwacja jest taka, że (jak prawie wszędzie) coraz mniej środków przeznaczana się na zakup zasobów drukowanych, a coraz więcej na materiały elektroniczne. Jednak przydałby się do tego bardziej pogłębiony komentarz, zwłaszcza że niepokojąca jest wyraźna marginalizacja piśmiennictwa drukowanego. Także w **sposobie** wyrażania opinii, co w profesjonalnym bibliotekarstwie nie powinno mieć miejsca.

Zasoby digitalne przejmujemy się w trybie wariantywnym, już to przez wykup na własność bądź przez nabycie na czas określony, albo poprzez

<sup>7</sup> D. Massie, *Tiers for fears: sensible, streamlined sharing of special collections*, w: *Making archival and special collections more accessible*, Dublin [USA]: OCLC, 2015, s. 115–116, 120–121, 123 [dokument elektroniczny].

<sup>8</sup> J.M. Dooley, *Taking our pulse: the OCLC research survey of special collections and archives. Executive summary*, w: *Making archival and special collections more accessible*, Dublin [USA]: OCLC, 2015, s. 6, 9 [dokument elektroniczny].

e-dopóżylenie. Co zostało starannie zreferowane, z uzasadnieniem stosowalności. Na decyzje nabycia ma wpływ potencjalne zapotrzebowanie, ale trzeba też mieć niezbędny sprzęt oraz odpowiednie warunki przechowywania i udostępniania. W ogólnej konkluzji pojawia się zaś opinia, że spójny model wspólnego gromadzenia digitalów i druków trzeba dopiero wypracować. To jednak jest już problem globalny<sup>9</sup>.

Znalazło się również w tym tomie kilka sygnałów bezpośrednio sondażowych, dopełnionych komentarzami wskaźnikowymi oraz metodologicznymi. Zwraca uwagę zwłaszcza frapująca wypowiedź **Agnieszki Chamery-Nowak** (UW), wsparta pożyteczną bibliografią na temat **płatnego** obiegu zasobów prasowych w Internecie. O tym pisuje mało kto.

Otóż wobec regresu obiegu prasy drukowanej – a za e-gazety płaci podobno nie więcej niż 14% odbiorców – wydawcy muszą szukać nowych sposobów pobierania opłat, ponieważ reklamy (dotychczas główna podstawa wpływów za gazety) funkcjonują odrębnie, poza e-prasą. Która poza tym traci charakter zwartych całości: to są częściej luźne zbiory tekstów. Krąży opinia, że rano preferuje się czytanie prasy drukowanej, potem zaś elektronicznej, ale w grę wchodzi dwie różne publiczności, toteż liczba płatników nie wzrasta.

Z innych doniesień wynika, że za **e-czasopisma** płaci co piąty odbiorca, a dwie trzecie zamiast płacić udostępnia swoje adresy e-mail. Płacić można za całość lub za pojedyncze teksty, ale są też formy opłat wybiórczych: paywall. Płaci się więc albo tylko za treści wskazane przez wydawcę, lub po przekroczeniu limitu wejść darmowych, bądź za wszystko – z wyjątkiem śródtytułów i krótkich streszczeń.

Poza tym ważna jest opinia, że tradycyjne formy badań obiegu nie są już dla sieci w pełni przydatne, dlatego wymyśla się również nowe. Polegające przeważnie na liczeniu odsłon i na rejestracji ruchu w witrynach. Wśród płatnych ofert badawczych, szerzej omówionych, zwraca uwagę m.in. *Sotrender*, pokazujący rezonans publikacji w innych mediach, oraz *Google Analytics*, gdzie ujawnia się częstotliwość wykorzystywania. Autorka napisała, że *jakość*, ale to błąd. Niewątpliwie natomiast, tak jak zasugerowała, daje się dotkliwie odczuć brak analiz **całościowo** charakteryzujących obieg e-tekstów.

**Aneta Drabek** z Biblioteki UŚ prześledziła obecność polskich czasopism humanistycznych w międzynarodowej bazie *Scopus* – dopełniając tym samym inną analizę, gdzie *Scopusu* nie było<sup>10</sup> – i spostrzeżenia są

<sup>9</sup> M. Gorman, *Our enduring values revisited*, Chicago 2015, s. 82–83.

<sup>10</sup> A. Pulikowski, *Widoczność polskich publikacji naukowych w internecie*, ZIN 2015, nr 1, s. 59–70.

ciekawe, mimo że jest to baza peryferyjna. Polskie tytuły w ogóle stanowią tam 2% całości (naszych czasopism humanistycznych jest raptem 28), przywołane 1004 razy, więc to jest absolutny margines. Przywołania te w dodatku tylko w 68% pojawiły się w czasopismach zagranicznych. Natomiast pod każdym względem czołowy jest tam nasz periodyk „Bulletin of the section of logic”.

Sygnalizując rozmaite mierniki relacji, autorka pominęła *Impact Factor* oraz *Acceptance Rates* – chociaż może warto było o nich wspomnieć, skoro wypowiedź dotyczyła też **ogólnie** wskaźnikowych pożytków oraz słabości. Bo mankamentów jest dużo, w tym zwłaszcza wspomniane w tekście autocytywania, dramatycznie fałszujące wizerunek. Przykładowo: w *Scopusie* nasz „Poradnik Językowy” ujawnił 80% autocytowań pośród ogółu przywołań. To jest żenujące świadectwo zakompleksienia oraz imitowania nauki. Od siebie dodam, że również w naszym piśmiennictwie inb rozplenione ponad wszelką miarę.

**Anna Kamińska** (UW) omówiła praktyki korzystania z zasobów elektronicznych przez studentów – tym razem na podstawie doniesień zagranicznych, głównie jednak azjatyckich, więc siłą rzeczy niereprezentatywnych. Jej poprzednia analiza odnosiła się do studentów polskich<sup>11</sup> i była bardziej miarodajna. Przykładowe opisy szczegółowe są słabo czytelne, bo to monotonna wyliczanka z dodatkiem slangu (*dobrano, dokonano*), konkluzje natomiast przedstawiają się klarowniej, jakkolwiek zaskoczeń nie ma. Przedmiotem przywołanych sondaży były przeważnie cele oraz miejsca korzystania, kategorie wykorzystywanych zasobów, a także – oceny dostępu i wyniesionych korzyści.

Poza tym **Anna Wałek** z Politechniki Wrocławskiej przedstawiła informację o realizacji tamtejszego projektu digitalizacyjnego *Bibliotech*. To jest czytelna relacja sprawozdawcza. Natomiast, mimo kilku uwag (powtórzonych za innymi) o sieciowych miernikach nauki, nic nie wynika z ilościowego rejestru publikacji autorów pracujących na tejże uczelni. Sygnalizująca to **Barbara Mąka-Stolingwa** nie użyła żadnych wskaźników porównywalnych, dlatego prezentacja przystaje raczej do wewnętrznej strony WWW uczelni, tu natomiast jest nieczytelna.

Z ogromną przykrością muszę też powiedzieć, że nie doszukałem się żadnych nowych i produktywnych treści oraz celu i pożytków, ani zatem uzasadnienia, w publikacji **Marka Nahotki** (UJ) na temat gatunków – nie do końca wiadomo czego – ponadto porażająco bliźniaczej wobec

<sup>11</sup> A. Kamińska, *Wykorzystanie źródeł i narzędzi elektronicznych przez polskich studentów kierunków humanistycznych*, ZIN 2014, nr 2, s. 149–163.



innych, niedawnych artykułów tegoż autora<sup>12</sup>. Podobieństwa są takie, jakby z góry założono, że nikt tego nie będzie czytał. Konfuduje zarówno wtórność i zamglenie treści, jak też zaawansowane niezrozumiałstwo w następstwie kiepskiej jakościowo eksplikacji. Przedzianie się przez ten tekst jest ponad miarę męczące, a efekt mizerny, w każdym razie więc umieszczenie na początku tomu było pomysłem niedobrym, bo zraza do dalszej lektury całości.

Z trudem udaje się zgadnąć, że mowa o gatunkach tekstów elektronicznych oraz jeszcze bibliotecznych (?), ale nie wiadomo, jakie są, ani po co i do czego to potrzebne. Wyjaśnienie, że „gatunki [...] pozwalają organizować informacje ze względu na cel komunikacyjny [...] dzięki temu można określić rodzaje gatunków” (s. 17), to przecież bełkot, *circulus in definitio*, czyli błędne koło i nie tłumaczy niczego. A znów za komunikacyjne gatunki (ew. podgatunki) biblioteczne (?) – mylnie stosując określenie *system* zamiast *zbiór* – autor uznaje (s. 23–24) katalogi, bibliografie, klasyfikacje lub tezaury. Trudno to skomentować. Analogicznie, za komunikacyjne gatunki medyczne należałoby uznać skale na termometrach bądź podziały na strzykawkach. Z tego wywodu nie wynika niestety nic użytecznego.

Na dodatek przesłanki zostały wyrywkowo powyciągane z genologii **literaturoznawczej** – to jest wysoce zaawansowana dyscyplina nauki – i przenoszenie jej doświadczeń do innych obszarów, ostatnio czasami praktykowane, wymaga (napiszę to oględnie) zupełnie innego rozeznania oraz znacznie głębszej wiedzy. Zaś powoływanie się w tym zakresie na Michaiła Bachtina, jak też na Stefanię Skwarczyńską, którzy swoje opinie odnosili do **wtórnych systemów modelujących**, uważam za kuriozalne nieporozumienie. Pani profesor Skwarczyńska – z którą miałem okazję współpracować – jako naukowa purystka, mimo że była damą, określiłaby to zapewne surowiej.

Jednak najbardziej dokuczliwa jest absencja celu. Mam nieprzyjemne odczucie, że tekst posłużył nie do treściowej referencji, ale do powiększenia autorskiej bibliografii. Taki bowiem ilościowy system **ewaluacji** zagnieździł się w naszej nauce, acz są wątpliwości, czy to rzeczywiście jest pełnoprawna nauka.

Z jeszcze większą przykrością, ale tym bardziej stanowczo, trzeba odnieść to samo do wypowiedzi **Wiesława Babika** (UJ), sformułowanej

---

<sup>12</sup> M. Nahotko, *Ewolucyjne i rewolucyjne procesy powstawania gatunków tekstów elektronicznych*, „Przegląd Biblioteczny” 2016, nr 2, s. 214–243; idem, *Organizacja wiedzy w umyśle człowieka w świetle teorii schematów i gatunków*, ZIN 2014, nr 1, s. 80–93; idem, *Transactional reading theory in information organization*, ZIN 2015, nr 2, s. 84–105.

w niezrozumiałym wolapiku, więc w ogóle nieczytelnej, która też tylko pomnaża bibliografię. Przykładowo, nie do rozszyfrowania jest sekwencja „środowisko sieciowe preferuje zawartość, a nie obiekt będący jej ucieleśnieniem” (s. 49) – taki zaś bełkot właśnie charakteryzuje całość. Z pomieszaniem nawet pojęć *nauki, wiedzy, informacji* oraz *treści*, używanych tu wymiennie, chociaż są od siebie zasadniczo **różne**, no i każde ma w dodatku po kilka wariantywnych konotacji własnych. Poza tym są tam jeszcze jakieś ilustracje, przejęte z edycji anglojęzycznych *in extenso*, bez fatygowania się translacją zapisów.

Treść trudno powiązać z tytułem, a tym bardziej rozszyfrować. Jak przypuszczam, teza jest taka, że organizacja/uporządkowanie treści (bo przecież nie **wiedzy**, u licha) jest w komunikacji – zwłaszcza naukowej, także digitalnej – użyteczna. Ale to jest *odkrycie* kwadratury kwadratu. Od stuleci wszak niczym innym nie zajmują się katalogerzy, indeksatorzy i bibliografowie, a potem masowo dołączyli koncepcjoniści (nie tylko klasyfikacji), jak Dewey, Ranganathan, Gorman, nasz Łysakowski oraz wielu innych. No więc nic w tym nowego ani naukowego.

Nie potrafię też zaakceptować referencji **Marcela Kotkowskiego** (doktorant socjologii UJ), która – gdyby dotyczyła **tylko** typografii kinetycznej – byłaby może do przyjęcia, acz pod warunkiem napisania po ludzku. Ale większość wypowiedzi stanowią banialuki o czytelnictwie oraz dyrdymały na temat literatury pięknej, utożsamianej **wyłącznie** z emocjami. Otóż nie zaszkodzi wiedzieć, że literatura to nie tylko *kryminały*, i warto odróżniać ją od lunaparkowych karuzeli.

Wniosek jest taki, że redagowanie monografii bywa stresogenne. Czasami, w trosce o jakość całości oraz o pożytek czytelników, trzeba jakiejś publikacji poniechać, bo jednak nieprawda, że im coś jest mniej zrozumiałe, to tym bardziej naukowe. W tym tomie kryterialnej selekcji chwilami zabrakło, jednak **mimo to** jest w nim bardzo ciekawy i aktualny wizerunek naszego bibliotekarstwa oraz bibliotekoznawstwa cyfrowego, produktywnie dopełniający to, co już było wiadome wcześniej.